MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Adres Redakcji „Myśli Narodowej": Zgoda 5, I piętro: tel. 78-10. Godziny przyjęć codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt. Adres Administracji: Zgoda 5; tel. 26-58.

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Rok III. Warszawa. 17 Lutego 1923 r. Nr 7.



Cena numeru 400 mk.

PARADOKS ŻYCIA POLSKIEGO.

Przed kilku tygodniami na tem miejscu wykazywałem, jak potworną mystyfikację puściła w ruch wroga Narodowi Polskiemu lewica nazajutrz po nieszczęsnem zamordowaniu Prezydenta Narutowicza, ażeby steroryzować Naród, a w całym świecie okryć go jakimś cieniem hańby. Nie cofając się przed niczem, chciano Naród Polski w Polsce za jednym zamachem wepchnąć w ciemnicę w okryciu pokutnem i do publicznego zmusić zaparcia się swego prawa do walki o polską narodową rację stanu która stanowi, że o istotnych sprawach państwa polskiego tylko większość polska ma moralny tytuł rozstrzygać.

Tymczasem w dalszym rozwoju wypadków stajemy się świadkami nietylko dalszych etapów tej gry mistyfikacyjnej,

w której nienajpośledniejszym gronem jest rząd pana Sikorskiego, ale także takich zjawisk społecznych, które nie do rzędu zamierzonych mistyfikacyj, ale do jakichś życiowych paradoksów zaliczyć musimy.

Bo jeśli pan Sikorski z trybuny sejmowej w najmocniejszych słowach osadza wszelkie aspiracje wrogich państwu mniejszości, a one po równie gwałtownych protestach przeciwko tej „krzywdzie” — jednak głosują za rządem — to jest to tylko dalszy ciąg gry, i to gry — według znanej recepty arcymistrza — gry fałszowanej. Bo jeśliby Pan Sikorski na serjo i rzetelnie chciał poskromić wrogie państwu zapędy mniejszości—to choćby miód miał dla nich w ustach, ich politycy sądziliby go po czynach i nie daliby mu ani jednego głosu. Ale jeśli w oświadczeniach z trybuny z ust prezesa rządu padają ostre oskarżenia, ostrzeżenia i zapowiedzi, a przedstawiciele gromionych mniejszości pomimo to stoją za nim, jak mur — toć żaden polityk nie może mieć ani cienia wątpliwości co do tego, że muszą mieć od zdobywającego „większość“ w sejmie mówcy kategoryczne zapewnienie, że czyny jego będą inne: to też mamy już cały szereg czynów rządu pana Sikorskiego, stojących w jaskrawej sprzeczności z ostremi jego oświadczeniami w Sejmie. I oczywiście dla nikogo to nie jest niespodzianką: mniejszości należą do większości rządowej, i rząd p. Sikorskiego jednego dnia nie mógłby utrzymać władzy nad Polską wbrew ich woli: nieszczęsna Polska jest wydana na łup generalskiej polityki aktem poparcia rządu przez żydów, Ukraińców, Moskali w przebraniu białoruskiem i Niemców. Ale pomimo to w słowach, z trybuny rzucanych, pan Sikorski udaje, że chce stać na stanowisku panstwa narodowego. Na tem polega najpotworniejsza ze wszystkich mistyfikacja. Wolałbym na czele rządu widzieć pana Tuguta: tenby napewno, uczciwie i śmiało, z czynami niewątpliwie nie gorszemi dla Narodu od czynów pana Sikorskiego, uzgodnił swoje oświadczenia; śmiałby swój pogląd na prawa mniejszości w Polsce postawić jasno i otwarcie: i Polska, i cały świat by wiedział, że rząd polski wymyka się z rąk narodu polskiego i że do udziału w nim przyszedł „czwarty zaborca“ żydzi i toby było prawdziwe szczęście, bo z otwartą przyłbicą taki rząd jednego dnia by się nie utrzymał.

Ale mamy i inne zjawiska do zanotowania, które może nam głębiej w istotę tej choroby ciężkiej, przez jakie nasze państwo przechodzi, wejrzeć pozwolą. To nie jest mistyfikacja — jeśli Niewiadomski pogodzony z Bogiem umiera; to nie jest mistyfikacja jeśli umiera ze śmiałością i pogodą, spokojny, że daje życie dla twardej konieczności wyrównania tem szali sprawiedliwości; to nie jest mistyfikacja, jeśli w ostatniej swej odezwie wzywa rodaków do podniesienia dusz i do nie naśladowania jego krwawego czynu, do nie walczenia jego bronią; to nie jest mistyfikacja — jeśli ze swoją śmiercią zestawia gubienie Polski jakby dwie szale jednej wagi—on ginie za to,

że inni Polskę gubią; to nie jest mistyfikacja, jeśli samorzutnie, jak Polska długa i szeroka — po kościołach tłumy zanoszą modły o miłosierdzie Boże dla tej duszy Irydjonowej, w której grzech z miłością najczystszą się pomieszał, a nad mogiłą jego wzrasta kopiec zieleni i kwiatów pod niebo; to nie jest mistyfikacja, jeśli z zapadłej wioski lubelskiej delegacja chłopów przyjeżdża do Warszawy, by zbadać, czy wdowa po nieszczęsnym straceńcu, nie potrzebuje zaopatrzenia, które gotowi są dać ze swoich środków.

To wszystko nie jest mistyfikacją jak również nie jest nią normujący głos Księży Biskupów, którzy zalecają modły za dusze potrzebujące miłosierdzia Bożego, ale ostrzegają. przed wykolejeniem tego szczerego, głębokiego odruchu katolickiego duszy narodowej.

To wszystko jednak składa się na bolesny obraz strasznego paradoksu, którym jest życie polskie. Jak w czasie wojny rzekomą „wolą kraju" gaszono zapał tych, którzy na wschodzie chcieli i mogli wytworzyć polską siłę zbrojną — tak po wojnie majestatem Rzeczypospolitej, świętością Jej imienia, nienaruszalnością powagi Jej władz — posługują się przebiegle tajne organizacje, przez cynicznych wrogów Polski od żydowstwa wszechświatowego uzależniona, ażeby zabić w Narodzie wszelką myśl o całkowitej niepodległości wewnętrznej. Nie naród polski ma w ręku tę tarczę wspaniałą z Orłem Białym, by nią przerazić wszystkich wrogów, ale naodwrót — ci wrogowie podstępnie skrępowali i opanowali dłonie, tę tarczę dzierżące, by nią ośmielić, obezwładnić Naród Polski w jego walce o prawo gospodarza we własnem państwie. Jak Niemcy pod Głogowem przeciw Kasprowi Karlińskiemu wyprowadzili w pierwszym szeregu jego własne dziecię, najdroższą sercu ojcowskiemu świętość, by zamarło w nim serce rycerza — tak dziś Żydzi i przez nich opanowana tajna mafia najdroższe dziecko marzeń i tęsknot pokoleń — majestat niepodległego państwa, świętość jego praw, wspaniałość jego urządzeń — wystawiają naprzeciw Narodowi Polskiemu by mu zagrodzić drogę do władzy nad jego własnem państwem. I cóż dziwnego, że znajdują się serca rycerskie, które nie pękając z tego bólu — ojcowskie uczucia w sobie miażdżą i rozcinają paradoks—rozdzierając najświętsze symbole, w rękach niegodnych bluźnierstw sponiewierane?

Jakże ma sobie poradzić lud prosty, ufny w zdrowie moralne narodu, gdy sobie zestawi takie elementy paradoksu: tego samego dnia, którego chowano Niewiadomskiego, w Sejmie składał ślubowanie poselskie (!) jawny, cyniczny wróg państwa, głosowaniem Sejmu od kary uratowany — bolszewik Królikowski. Co sobie prosty lud o tych zestawieniach pomyśleć musi? Ale ten paradoks cały dojrzewa w duszach do rozwiązania ostatecznego, bez gwałtu, ani zbrodni.

Naród jest zdrowy—i z paradoksem da sobie radę. Wro-

gów ukrytych i jawnych, cynicznie za obrońców prawa i powagi pańs wa pr ebranych—naród odkryje i odrzuci precz od świętego narodowego ołtarza, przywracając prawdę i rzetelną miłość Ojczyzny do niezaprzeczalnych praw.

Xiądz Dr. Kazimierz Lutosławski

WE WŁASNEJ SIECI.

Grudniowe i styczniowe wypadki nietylko nie przechodzą w przeszłość i w zapomnienie, ale wywołują coraz nowe objawy i mogą bardzo ważnie wpłynąć na dalsze ukształtowanie się stosunków w państwie.

Tymczasem nasza lewica, przepojona umysłowością żandarmów rosyjskich, straciła już panowanie nad sobą i miota się we wściekłem uniesieniu, powiększając tylko psychozę powszechną. Zanadto zaciekła, aby starać się zrozumieć zjawiwiska zbiorowej psychologji, nie widzi, że przez policyjne zarządzenia, przewyższające w swojej tępocie szarże rosyjskich stupajków, tylko utrwala, rozszerza i powiększa te nastroje, jakieby chciała ze społeczeństwa wykorzenić. Zdaje się, że obleciał ją strach, przed którym chce się bronić kryminałem, konfiskatą i szubienicą. Te metody zawiodły jednak nawet w Rosji, tem mniej zatem mogą liczyć na skuteczność w Polsce. Najmniej zaś w Kongresówce, gdzie społeczeństwo nauczyło się przez pół wieku żyć, a nawet nie tracić dobrego humoru, wśród konfiskat, cenzur, rewizji, aresztowań, zsyłek i szarży policyjnych. I jeżeli panowie lewicowcy oburzają się, że społeczeństwo polskie zaczyna wobec rządu polskiego coraz bardziej przybierać tę samą postawę, jaką miała wobec rządu rosyjskiego, to powinni temu polskiemu rządowi, który stworzyli i utrzymują, jak najstanowczej odradzić chwytania się metod rosyjskich dla uspokojenia kraju. Publiczność nie widzi różnicy między kozackiem „uśmirenjem”, a lewicowem uspokojeniem. Nawet grudniowa zapowiedź rządu, że już opanował groźne położenie, przypomina sławetny telegram: „L'ordre règne à Varsovie”. Stosowanie rosyjskich metod musiało wywołać psychikę z czasów rosyjskich. To zrozumie każdy, kto zechcę trochę zastanowić się.

I zamiast zrewidować swój własny sposób reagowania na objawy, bądź co bądź, niepokojące, lewica brnie dalej, zamykając oczy na to, że wywołuje burzę, która za kilka miesięcy może przerosnąć nawet siły wszystkich socjalizujących generałów. Nie wystarczy wtedy zwalanie odpowiedzialności na „chjenę”, bo w zamęcie mogą pod jednymi gruzami zginąć w braterskiej nicości endecy z pepesami.

Lewica, pozbawiona zmysłu narodowego, państwowego

i praworządnego, próbuje ze wszystkich nieszczęść Państwa i narodu wykuć kapitał partyjno-polityczny. I dlatego wikła się we własnych sieciach. Przypomnijmy fakty.

Pierwszy prezydent Rzeczypospolitej pada od kuli zabójcy. Zdarzenie nieoczekiwane, tragiczne. Zaskoczyło wszystkich i niestety wszyscy potracili głowy.

Lewica nadzwyczaj rychło spostrzegła się, że ta śmierć niespodziewana może posłużyć do zgnębienia przeciwników partyjnych. Przed śledztwem, przed rozprawa, przed wyrokiem, wtedy, kiedy wyniki śledztwa pierwiastkowego ustaliły, że zabójca działał sam z własnego popędu, rozniecono pożar podjudzań, napaści, insynuacji, rozjątrzań, oskarżeń, oszczerstw, które mogły były doprowadzić do wojny domowej. Na szczęście zwolennicy lewicy nie dali się pociągnąć przez tę machę. Ci zwolennicy bowiem są w kwestji zabójstw mocno zblazowani. Przecież w latach 1905 i 1906 ci sami kabotyni, którzy teraz w przesadę rozdzierali szaty i gęby dla potępienia morderstwa politycznego, uczyli swoich zwolenników, że morderstwo polityczne nie jest zbrodnią, że przeciwnie uprzątanie przeciwników politycznych jest objawem obywatelskości, niepodległości i wielu innych cnót cywilnych. Ci sami wyjce, rozpaczający zbyt rozgłośnie nad trumną pierwszego prezydenta, wkładali przed kilkunastu laty browingi w ręce swoich zwolenników dla mordowania współbraci i dawali im „obywatelskie, polskie” rozgrzeszenie.

Nie dziw, że niejeden szeregowiec pepeesu pozostał obojętnym na furjackie szamotanie się tych przywódców, którzy zdawali się ogłaszać, że mord polityczny jest bohaterstwem, o ile się go dopuści socjalista na robotniku narodowcu, a jest zbrodnią, jeżeli się go zastosuje odwrotnie.

Dusze proste nie dają się brać na taką kazuistykę i żeby się dać pociągnąć do czynu, potrzebują zasad stałych, niezmienianych wedle okoliczności i korzyści.

Ci ludzie mają przecież za sobą długą i urozmaiconą szkołę morderstw politycznych. Musieli więc nieraz zastanawiać się nad niemi.

Z początku chodziło o mordowanie szkodliwych, wyższych urzędników rosyjskich. Tu wchodził w grę pierwiastek narodowy i on opromieniał chwałą te morderstwa. Ale potem ułatwiono sobie sprawę. Zamiast ścigać dobrze strzeżoną rękę, poprzestawano na ślepym mieczu to jest na niższych funkcjonarjuszach, zwłaszcza policyjnych.

A przecież między tymi rosyjskimi policjantami był wcale pokaźny odsetek Bogu ducha winnych Polaków, którzy dla kawałka chleba ubierali swój grzbiet w szynel. Wszak jeden z posłów, najzacieklej wykrzykujących przeciw politykowaniu browningiem, ma na sumieniu wielu takich policjantów, a między nimi i Polaków. I z pewnością uważa ów okres swego życia za górną epokę bohaterstwa. Uważał za swoje moralne

prawo odbierać drugim życie za cudze winy, a teraz woła: „Nie zabijaj", bo się zląkł, że rewolwer mógłby być przeciw niemu wymierzony. Tej dwoistości już prosty człowiek nie pojmuje. Na to trzeba być samozwańczym „przywódcą ludu".

A potem przyszły rzeczy trudniejsze do zrozumienia. Rabowano kasy na cele partyjne i przy tej sposobności raniono lub zabijano stróżów tych kas.

P. Kwapiński niedawno opisał napad na kasę w pociągu pod Rogowem. Zraniono przy tem nawet ciężko trzech czy czterech ludzi. I p. Kwapiński opisuje z liryzmem to upojenie, to wzlatanie ducha w błękity, jakiemu ulegli uczestnicy wyprawy, kiedy bezpiecznie unosili łup złota, zdobyty krwią kilku niewinnych ludzi. I ten rabunek został w kołach lewicy zrehabilitowany, ponieważ zdobyte pieniądze były pieniędzmi rządu rosyjskiego. Niezupełnie ściśle odpowiadało to prawdzie, bo kiedy rząd rosyjski odmówił wypłat, okazało się, że w zdobytym łupie było wiele polskich posyłek, a między nimi i posyłki dla biednych Polaków.

Gorzej już było ze zrabowaną kasą w Bezdanach i w Wysokiem Mazowieckiem. Jedna była własnością polskiej gminy, druga polskiego powiatu. A przecież i wtedy przedstawiano te wyprawy jako czyny bohaterskie. Dla szeregowców lewicy znaczyło to, że nietylko morderstwo polityczne, ale pospolity rabunek, połączony z kaleczeniem czy zabijaniem, jest tytułem do chwały, o ile się uda przyczepić do nich etykietę polityczną. A stąd wniosek, że morderstwo polityczne jest już zgóry rozgrzeszone, że nietylko plamy nie zostawia, ale przeciwnie pasuje mordercę na bohatera.

Jak więc mogli ci sami ludzie spodziewać się po wychowanych w tej nauce zwolennikach, że nagle zaczną oburzać się przeciw morderstwu tak specyficznie politycznemu, że aż trudnemu do zrozumienia przez swoją bezinteresowność i prawie bezosobowość? To też sztuczne i udane ryki przywódców zagasły bez echa jak wycie w pustyni.

Ale sami sobie winni ci monopolowi przywódcy ludu. Kto wiatr sieje, zbiera burzę.

Chcąc wykorzystać tragiczne zdarzenie, dla pognębienia przeciwników politycznych, lewicowcy nie uszanowali nawet nieboszczyka. Zamiast zamilknąć nad trumną i sprawić pogrzeb, jaki się należy głowie państwa, zatrzymali zwłoki przez sześć dni na wierzchu, łamiąc przepisy zdrowotne, wystawiali je na widok w coraz innych dekoracjach, w pałacu, w zamku królewskim i t. d. i do dziś nie zdecydowali się, gdzie je ostatecznie złożyć na wieczny spoczynek: w Warszawie, czy w Krakowie na Wawelu.

Postanowiono wyzyskać politycznie trupa, do celów, do których trup się nie nadaje. Wszyscy lewicowi kabotyni myśleli zabawić się w Antoniusa, który skrwawionego trupa Cezara pokazywał Rzymianom i republikę na zawsze obalił. Na

szczęście ś. p. Narutowicz nie był Cezarem, ani nasi lewicowcy Antoniusami. Sztuczna komedja szczerzyła zęby z pod tragicznej maski i owe orgje, graniczące prawie z profanacją zwłok, chybiły sromotnie celu. Ale gdyby wyrazy mogły zabijać, połowa narodu polskiego byłaby znalazła śmierć nagłą, od tego, co się w lewicowych pismach czytało.

O ś. p. Narutowiczu nikt nic nie wiedział, więc trudno było opleść jego zwłoki legendą, choćby je się trzymało na wierzchu i sześć miesięcy. Co gorzej! Ludzie zaczęli pytać o jego przeszłość, a że lewica przesadzała w ogólnikowych, niczem nie popartych uwielbieniach, publiczność najchętniej dawała ucha wiadomościom, a nawet plotkom, niekorzystnym dla nieboszczyka. Ze względu na uszanowanie, winne majestatowi śmierci, nie podam opinji, jaka zdobyła sobie prawo obywatelstwa w najszerszych masach. Stwierdzę tylko, że pamięć ś. p. prezydenta Narutowicza straciła bardzo wiele, właśnie wskutek niezachowania przyzwoitej miary w hołdach, jakie się należały Prezydentowi Rzeczypospolitej, który tragicznie zginął, jak żołnierz na posterunku. Ci krzykacze mieniący się jedynymi przedstawicielami ludu, nie znają psychologji ludzkiej, nie umieją odczuć i przewidzieć nastrojów, bo uważają się nie za przedstawicieli, lecz za pastuchów trzody ludzkiej, do której stosują wrzask lub batog.

(d. n.). *Jan Zamorski.*

CHODŹKO ODCHODZI...

Motto: A kiedy odjeżdżasz, bywaj zdrów...

Parturiunt montes resistat ridiculus mus. Waliły się gabinety jeden po drugim jako domki z kart, ministrowie wlatywali i wylatywali jako gołębie z gołębnika, padały znakomitości jedne po drugich jako strzaskane piorunem dęby. Przeszło półtorej setki ministrów przewinęło się w tych porodowych latach przez salę posiedzeń w ex namiestnikowskim pałacu, a tylko on jeden, psychiatra, tkwił na swoim posterunku. Było w tem coś symbolicznego, w tym psychiatrze nietykalnym od czasów Beselera aż po dziś dzień, jakby przydzielonym do Rady Ministrów na wypadek, jeżeli któryś z nich podczas sesji dostanie silniejszego ataku i zacznie się ciskać i toczyć krwistą pianę. Od czasu do czasu wzywano go też na narady do Belwederu, gdzie Chodźko specjalista mógł też obserwować wiele objawów, notowanych już u Krafft-Ebinga, Lombrosa, Mantegazzy, En. Ferri i t. p. Z tego też głównie powodu psychopatologa nie tykano na stanowisku, a raczej na posterunku ministra zdrowia i kompetentnego fachowca w nagłej potrzebie. I p. Chodźko trzymał się przy swej tece rękami i nogami. Dzięki niemu też stan zdrowotności w kraju poprawiał się z dnia na dzień widocznie, a odsetek śmiertelności malał z dnia na dzień do tego stopnia, że

pogrzeby w państwie stały się już rzadkością, a trumniarze bankrutowali jeden po drugim. Opustoszały też zwolna szpitale miejskie i wiejskie, a z epidemji w ostatnich miesiącach grasowały już tylko orderitis progressiva, shimmymania acuta, tabes dorsalis i pomniejsze... Równocześnie zaś rozrodczość ludności poprawiała się w tempie tak szybkim, że wydawanie na świat bliźniaków i trojaczków stawało się objawem normalnym i nagminnym.

I w tym momencie ni stąd, ni zowąd pada projekt likwidacji dr. Chodźki i zdegradowanie męża stanu lekarskiego tak niezwykle nawet, jak na nasze stosunki opatrznościowego na... na chefa departamentu! Chodźko, pięcioletni psychiatra państwa, Chodźko, który akuszerował przy tylu porodach poronionych gabinetów ma być zwykłym sobie departamentnikiem! Z ministra jubilata, z ministra kawalera tylu orderów, znanego już w całej Europie jakimś subalternem specjalisty od „wewnętrznych" przypadłości państwa? Nigdy! Albo, albo. Już tyle razy gadało się o tych redukcjach, likwidacjach i oszczędnościach, a dr. Chodźko zawsze umiał się wymigać, zasypując prasę reklamami o swoich zasługach i uznaniu w całej Europie i wzrastającej zdrowotności w państwie. Ale teraz przyszła „Naprawa Rzeczypospolitej" i na p. Chodźkę. Jeszcze się broni wszelkimi siłami, jeszcze rozsyła różne „migawki" do pism, jeszcze przekonywuje cyframi, że to tylko zaoszczędzenie 0.8% budżetu, ale już w ostatniej instancji uchwalono zmniejszenie Chodźki w departament i już żadne blagi i bluffy nie pomogą.

Chodźko wraca tedy do Tworek. Co się nażywał to nażywał. Najeździł po całej Europie gratis z bogatymi dziećmi i po kraju ekstracugiem co sie wlezie. Parady z nim było co nie miara. W każdym szpitalu p. minister „osobiście z orszakiem" był i bywało na ten dzień wszystko musiało być oczyszczone i wymyte na glanc, jak się patrzy. Sto łbów Hydry epidemicznej ten Herkules mieczem poodcinał własnoręcznie, cholery i lepry do Polski nie dopuścił, nawet Amerykanom i Anglikom w mowach bankietowych zaimponował na całej linii.

Obecnie, kiedy odchodzi w Hades kiedy wraca do któregoś z mniejszych zakładów dla warjatów, trzeba to przyznać i skonstatować, że o takim brudzie po miastach, szpitalach, klinikach, prosektorjach, lecznicach, uzdrowiskach sanatorjach, jak za jego ministerstwa, nie miało się istotnie dotychczas pojęcia.

Że stan hygieniczny i sanitarna administracja w Polsce mimo tego kosztownego i luksusowego ministerstwa jest jeszcze na jakim-takim poziomie, to należy wliczyć do kategorji tych „cudów nad Wisłą", jakich jest bez liku.

Kochał Prusaków, kochał swego czasu za okupacji pan minister Chodźko, ale z pruskiej czystości i z pruskiej hygieny przez pięć lat swego urzędowania i bluffowania mało co, niestety lub nic zgoła nam nie wprowadził *(n. a.)*

SCHYLOCK HOLMES PRZY PRACY.

W „Naszym Robotniku" czytać będziemy w najbliższych dniach następującą korespondencję:

Kiełbikowo na Pomorzu. Przejeżdzając przez tą mało znaną miejscowość wobec tego że pociąg zatrzymuje się pięć minut wyszedłem na stację i chcąc napić się szklankę piwa w bufecie wysłuchałem mimowoli rozmowę jaką prowadził tragarz stacyjny z miejscowym członkiem straży pożarnej blondynem, słusznego wzrostu lat mniej więcej 45 może 62 ale nie więcej. Otóż w szkole miejscowej dla dziewcząt nauczycielka nazwiska Grdykówna (bardzo podobne nazwisko do znanego lewiatana z Chyjeny posła Gdyka) po lekcji języka polskiego w klasie 2-giej, której okna wychodzą na ulicę zatrzymała uczennice i kazała im śpiewać pieśni polskie, endecką Rotę, znany marsz Sokołów czarnosotieńców, a wreszcie jakby drwiąc sobie z rządu w Warszawie pieśni... I teraz zgadnijcie czytelnicy czyje? Oto ni mniej ni więcej: Niewiadomskiego! Kiedy jedna z uczennic nazwiskiem Goldman wzbraniała się, wówczas rozwścieczona endeczka porwała uczennicę za warkocz i okręciwszy nim rękę zaczęła bić uczęnnicę o ścianę i równocześnie kopać ją krzycząc w niebogłosy: Ty piłsuczko zatracona! ja cię nauczę! popamiętasz ty mnie i t. p. poczem jakby nigdy nic uczennice nadal śpiewały pieśni Niewiadomskiego jedną po drugiej podobno trzy z rzędu wywołując niesłychane zgorszenie i oburzenie u nielicznych przechodniów.

Podajemy to do pana ministra oświaty, pana ministra spraw wewnętrznych i innych miarodajnych czynników. Dodać tu musimy że cała wogóle ludność w Kiełbikowie na Pomorzu mocno jest zarażona endeckim jadem i trądami reakcyjnymi. Jednego z Izraelitów, który przejeżdzając tylko przez tą miejscowość wysiadł na chwilę i chciał zakupić w mieście większą partję jaj gawiedź miejscowa z podjuszczeń nauczycielki szkoły miejskiej w najbrutalniejszy sposób insultowała i wyzywając od „galicjaków z kongresuwy" łżąc i bijąc odprowadziła z powrotem do wagonu. Jak długo jeszcze będziemy tolerować podobne stosunki? Jak długo będzie się panoszyła bezkarnie ta apoteoza mordu i apologia morderców?

Wasz.

HISTORYK FRANCUSKI O ASKENAZYM.

W Biuletynie francuskiego Towarzystwa Historji Współczesnej (Bulletin de la Société de l'Histoire Moderne) prof. Roger Levy Guenot tak pisze o przetłomaczonej na język francuski książce prof. Askenaza o Poniatowskim:

„Jest to specymen historji dla ludzi z t. zw. towarzystwa. Żadnego aparatu krytycznego, co zresztą jest do wybaczenia w książce, przeznaczonej dla szerokiej publiczności; lecz niema nawet usiłowań dowodzenia: twierdzenia stale zastępują miejsce dowodów. Jest to praca wdzięczności patrjotycznej

i—aby rzecz określić jednem słowem—zbożnego wspomnienia. Ton dytyrambu od początku do końca. Idzie o rozegzaltowanie czytelnika, nie zaś o pouczenie go..."

Poznali się na „naszym" beletryście i reklamiarzu.

SUKCESY ASKENAZA W SPRAWACH GDAŃSKIEJ I LITEWSKIEJ.

(Danziger Zeitung 1921 telegram z Genewy).

Obrady te przyniosły niezaprzeczany sukces osobisty prez. senatu Sahmowi, dzięki powadze jego wystąpień, rzeczowemu spokojowi i zwięzłości, z jaką przedstawiał interesy gdańskie. Przeciwnie partner jego, prof. *Askenazy swoją nerwowością w wywodach wywołał w łonie Rady widocznie zniecierpliwienie* zwłaszcza, iż już w godzinach porannych musiał prof. Askenazy wygłosić dłuższe przemówienie w sprawie wileńskiej. Niefortunny pod względem taktyki sposób argumentowania p. Askenazego, szczególnie w sprawie portu d'attache, sprawił, że wywody p. Sahma spotkały się *z żywemi oznakami potwierdzenia* u wielu członków Rady. Zwracało powszechną uwagę, iż oznak tych nie ukrywał przedstawiciel francuski p. Hannotaux.

(Vossische Zeitung. Paz. 1921.)

„Dziś popołudniu Askenazy występował w obronie stanowiska Polski przeciwko oświadczeniom Hymansa, który jest jednym z najlepszych mówców na zgromadzeniu, oraz przeciwko delegatowi litewtkiemu, Miłoszowi, który także nie jest jednym z najgorszych mówców. Askenazy, wysoki, szczupły, trochę zgarbiony pan o haczykowatym nosie *jest złym mówcą*. Może jest dobrym historykiem. Niektórzy Polacy mówią nawet, że najlepszym historykiem Polski. Podczas rozmowy polskiego delegata, p. Hymans nerwowo grał palcami po stole i z baczną uwagą śledził za ledwo zrozumiałymi, bo źle wypowiadanymi wywodami.

VULGUS PODWAWELSKI.

Krakowska P. P. S. przepełniona parchami jak żadna inna jest wyjątkowo zdziczałą, wyuzdaną i bezczelną w swych „żywiołowych" demonstracjach. Im więcej w czerwoniastym Krakowie głaszczą stańczyki w „Grandzie" rozmierzwione łby gudłajów Haekera i Feldmana, im więcej wsadzają synekur i dostojeństw w paszcze prowincjonalnych prowodyrów Bobrowskich i Żuławskich, tem dzicz z Haekrowa zuchwalsza, pewniejsza siebie, na większe sobie pozwala burdy i pucze, a zdemoralizowana tu policja przypatruje się temu z admiracją i respektem.

W Piątek 9 lutego bandy rozpróżniaczonej, znudzonej prowincjonalnem życiem hałastry po urzędowem już obchodowem wyciu i ryku czerwonego pod pomnikiem cierpliwego Mickiewicza ruszyły pod pałac biskupi, wytłukły tam szyby, poczem rozegziona, zdziczała kanalja rzuciła się na kościół O. Franciszkanów, bijąc kamieniami w witraże Wyspiańskiego i w mozaikę Popiela przedstawiającą św. Franciszka. Witraże szczęśliwie ocalały, potłuczono natomiast moc szyb sklepowych na rynku i przy Brackiej.

„Demonstracja" to nie pierwsza, ale najwyższy czas aby była ostatnią. Motłoch krakowski żgany przez rozzuchwalonych czelnych sceleratów Haeckera i Feldmana odznacza się

nadmierną podskórną wścieklizną i czysto bolszewickimi instynktami. Ze wszystkich miast polskich jest tu vulgus najzuchwalsze, złe, tępę, ziejące nienawiścią do warstw wyższych i inteligencji i każdej chwili gotowe na rozkaz escquroców żydowskich i alfonsów socjalistycznych z Kazimierza z Dajwora rzucić się na rabunek. Kamienowanie kościoła Ojców Franciszkanów i bomby z bruku rzucane na witraże Wyspiańskiego są zapowiedzią do czego barbarzyństwo tej dziczy dojść może, jeżeli się wcześniej nie wsadzi na nią kaftanu bezpieczeństwa.

Demonstranci krakowscy to nie jest to samo co proletarjat łódzki, warszawski czy inny, to są szumowiny i swołocz przedmiejska opychana łajdacką strawą enkainickiego śmiecia z „Naprzodu" i z „Nowego Dziennika".

Dziś tej dziczy jeszcze nie udało się potłuc witraży Wyspiańskiego i mozaiki Popiela, ale raz może się udać i hersztу Robert Haecker i Bertrand Feldman zrzuciwszy maski z roży poprowadzą czerń czarnosotieńską na Wawel! Cóż z tego, że taki Haecker bolszewik w r. 1917 teraz będzie pisał jubileuszowy fejleton o Morawskim prawą ręką, kiedy Juduszka ta lewą ręką daje znak czerni, żeby szła z kamieniami na pałac biskupa i biła w szyby i witraże.

Metoda obłaskawiania i przechytrzania takich judoszakali propagowana namiętnie przez Machiavelników z Czasu i z Grandu doprowadza tylko do tego, że Polska „od Krakowa" wciąż gnije. Panowie Potocki-Pieczarski, Badeni, Krzyżanowski, Estreicher, Tonio i t. p. będą Haeckera pieścili, ściskali, całowali w oczko i w nosek, ale gdyby przyszło co do „czego", to ich pierwszych każe komisarz Haecker powywieszać...

Psyche Haeckerów i Feldmanów się nie zmienia i może się zaczaić na krótko i schować różki jak ślimak w skorupie. W danej chwili atoli skorupa pęka i mstliwy, od 2 tysięcy lat czychający na „Boga" żyd wysyła swoich kapitanów Bobrowskich, Żuławskich i swoje bataljony przedewszystkiem na kościoły.

A to, że w jednym z witraży kościoła jest Bóg Ojciec Wyspiańskiego! to komendanta Haeckera nie odstrasza...

(a. n.)

OSTRZEŻENIA DLA ŻYDÓW POLSKICH.

(Gustaw Hervé w Victoire r 1921).

Niechże żydzi pozwolą Francuzowi — namiętnemu filosemicie—przestrzedz ich, że niema w Europie ani jednego narodu, ani we Francji, ani w Anglji, ani w Niemczech, *któryby przyjął to, czego oni żądają od Polski.* Żaden naród nie zgodziłby się na to, żeby cudzoziemcy przyjęci do jego wnętrza rościli sobie pretensje do zorganizowania się w coś w rodzaju państwa i żeby wymagali czegoś innego, niż roztopienia się w narodzie, któryby ich przyjął. Sjonizm, marzący o odbudo-

waniu państwa żydowskiego w kraju rodzinnym w Jerozolimie, jest przedsięwzięciem słusznem, ale sjonizm, dążący do utworzenia ognisk narodowych w ognisku innej ojczyzny, musiałby doprowadzić do straszliwego wybuchu antysemityzmu w całej Europie.

(Charles Philips w Morning Post z 13 P. 1922 r.).

„Polska dzisiejsza stoi wobec zagadnienia, którego nie można nie brać w rachubę, jeśli się podejmuje krytykę nowej Republiki. Jest to zagadnienie żydowskie. Niewielu Anglików zdaje mi się, zdaje sobie sprawę z tego, że blisko połowa Żydów z całego świata przebywa w Polsce, oraz że blisko 15 procent całej ludności polskiej jest żydowskiej i obcej. Nie może ulegać wątpliwości, że znaczna część Żydów dzisiejszych w Polsce, wprowadzonych w błąd przez wichrzycieli sjonistycznych, nie chce obywatelstwa polskiego i równości wobec prawa. Ale o rozwiązaniu zagadnienia żydowskiego nie może być mowy bez znacznego zmniejszenia ludności w kraju przez emigrację. Żadne państwo nie może wchłonąć obcego narostu takich rozmiarów jak obecnie Żydzi w Polsce".

(Roberts w „The Scotsman" z paździer. 1921 r.).

Żydzi zaasymilowani są w Polsce czynnikiem dodatnim i bardzo pożytecznym. Ogół wszakże żydów jest asymilacji oporny, odrębny mową, strojem, pojęciami, kulturalnie niższy, trzyma się na uboczu w skupieniach, które poznać łatwo po brudzie. Polacy są tolerancy z tradycji i usposobienia: „Zbyt śmiałem jednak byłoby twierdzenie, że ta tolerancja w stosunku do żydów nie ulegnie zmianie". Nie wchodzą tu w grę ani względy religijne, ani rasowe. Nieszczęściem jest żydów i Polski, że jest ich tu więcej, niż można przyswoić. Są wszędy obecnymi, natrętnymi pośrednikami, a żadnego kraju nie stać na utrzmanie takiej liczby nieprodukcyjnej ludności. Zaradą byłoby, gdyby się imali rolnictwa i rzemiosł, lub w wielkiej liczbie przenieśli do Rosji. Jeśli polska nie rozwiąże tego ciężkiego problemu, skutki mogą być poważne dla całej Europy centralnej.

(Piccolo Giornale d'Italia z 22 paźd. 1922 r.).

„Nie należy mówić, iż sjonizm istnieje tylko tam, gdzie żydów prześladują, dla tej prostej przyczyny, iż bardzo niewielki procent żydów polskich wyjeżdża do Palestyny, olbrzymia zaś większość woli pozostać i prowadzić handel na miejscu, co dowodzi, że jest im dobrze w Polsce, i widać nie doznają takiej nietolerancji, jak to się starają zwykle przedstawić. Jedno jest pewne, że jeśliby żydzi włoscy pozwolili sobie na dziesiątą część tego, co ich współwyznawcy wyrabiają w Polsce, pan di Veroli stanąłby wobec alternatywy zastosowania względem nich metody faszyzmu, to jest tej metody, która odrodziła nasze życie narodowe".

(Prof. Aulard w Ere Nouvelle 1922 r. grudzień).

„Jeśli jest rzeczą konieczną, aby większości umożliwiły życie mniejszościom, to jest też rzeczą konieczną, aby mniejszości umożliwiały życie większością. Jest to ich obowiązkiem, obowiązkiem europejskim i ludzkim, a zarazem warunkiem i rękojmią ich własnych praw.

KSIĄŻĘ SYONU W WARSZAWIE.

Na wielkiej Akademji w Colosseum, urządzonej 8 lutego na cześć przybyłego do Warszawy wodza aszkenazów Nahuma Sokołowa przemawiał cały szereg mówców syonistów, senatorów judopolskich, dziennikarzy, wreszcie zabrał głos książę Nahum i wedle „Naszego Kurjera" mówił między innemi, co następuje (oczywiście przefiltrowane w redakcji i spreparowane ad usum goyim):

— Oszołomiony jestem przyjęciem, które mi zgotowało żydostwo polskie. Notowałem specjalnie nazwy organizacji, które wysłały na tę akademję swych delegatów.

Były to organizacje i instytucje, które jeszcze nie istniały lub były tylko w zarodku wtedy, gdym opuszczał Polskę. Żydostwo polskie nie zdaje sobie może sprawy z tych kolosalnych zmian, które zaszły w ostatnich latach. Opuściłem mały podległy kraj, w *którym pulsowała zaledwie idea narodowa, nietylko nasza lecz i polska*, a teraz wracam do kraju wielkiego, samodzielnego, niepodległego. Także naród żydowski znajduje się obecnie w okresie zmartwychwstania. Nasi mędrcy toczyli niegdyś spór o to, czy zmartwychwstanie dotyczy ducha, czy ciała. Wiemy jednak, że najważniejsze jest zmartwychwstanie ducha, aczkolwiek jest to proces bardzo powolny. Jestem niezmiernie dumny, gdy widzę że to *zmartwychstanie przedewszystkiem objęło żydostwo polskie* i szczycę się, że urodziłem się na tej ziemi".

...Pulsowała idea narodowa nie tylko nasza lecz i polska..."

...Zmartwychwstanie przedewszystkiem objęło żydostwo polskie"...

Odczuwamy to mocno na naszej skórze. Wasza Wysokość! Polska idea narodowa znów tylko pulsuje... Galilee vicisti!...

NUMERUS CLAUSUS W AMERYCE.

(Harold H. Mc. Gregor).

W uniwersytetach amerykańskich istnieje dążenie do utworzenia zagrody żydowskiej (Jewish Pale).

Harward University w Bostonie, ograniczył wstęp dla studentów żydów.

Columbia University w Nowym Jorku, w przeciągu dwóch ostatnich lat, zmniejszyła ich wstęp z 40 do 22 proc.

New York University ma podobno inicjować jeszcze ostrzejsze zarządzenia.

Wogóle i inne uniwersytety wprowadziły już lub mają wprowadzić podobne ograniczenia. Prócz egzaminów umysłowych (mental), wchodzą tu w rachubę nietylko czynności studentów poza szkołą, ale także i inne szczegóły. Dyrektor szkoły musi osądzić wszystkie rysy charakteru każdego ze studentów. Również jak się zachowują w „uczciwej zabawie lub przy pracy" (fair play), jaki jest ich „duch społeczny" (public spirit), ich „zainteresowanie się bliźnim" (interest in fellows), i ich „przewodnictwo w zabawie i pracy" (leadership). Na takich ocenach żydzi wychodzą gorzej. Przyczyną inną zmniejszania się liczby studentów-żydów jest to że prawie *50 proc. wszystkich spraw karnych przy uniwersytetach, jak np. oszukiwanie podczas egzaminów, złamanie słowa dla wydostania się z jakiegobądź kłopotu i inne rodzaje nieuczciwości, są popełniane przez słuchaczy żydowskich.*

W tygodniku „Literary Digest" z 8 lipca 1922 r., prezydent Lowel z Harvard University przedstawia następujące szczegóły w tej sprawie:

Szybkiem tempem niestety, rozwija się w uniwersytetach antysemityzm, który bez wątpliwości spowodowany jest silnemi rasowemi uczuciami samych żydów. W wielu miastach kluby chrześcijańskie zabraniają wstępu żydom.

Ci zaś tworzą swoje własne kluby. Prywatne szkoły, jak i pewne hotele, zabraniają także wstępu żydom. Ruch ten nie był zapoczątkowany w Ameryce, lecz został przywieziony z innych krajów, gdzie już panował od setek lat. Antysemityzm wzrasta między studentami. Rośnie on proporcjonalnie do powiększania się liczby studentów żydów. Liczba około 40 proc. zastała stosunki bardzo zaostrzone, a gdy liczba ta się zmniejszyła, uczucia także malały. Wszelkie uczucia rasowości zmierzają do niedopuszczenia do osobistych, ścisłych, studenckich przyjaźni, na których musimy opierać się, chcąc, aby antypatje antysemickie zostały złagodzone. *Gdyby każdy uniwersytet przyjął tylko ograniczoną liczbę żydów, tobyśmy wtenczas szli ku właściwej drodze do wyeliminowania uczucia rasowego pośród studentów.* Gdy zaś ci studenci ukończą później naukę i wejdą w świat, zostanie ono wyeliminowane także z samego społeczeństwa".

Quand Israel sera Roi...

Mniejwięcej w r. 1950... kiedy z Sowiecką Eurazją będzie sąsiadowała sarmacka Asken Azja, a żydostwo wschodnie opanuje magistraty wszystkich miast w Polsce, odbędzie się i w Warszawie posiedzenie w Ratuszu, na którem Rada Miejska uchwali zmiany nazw pewnych ulic. Warszawa będzie liczyła wówczas mniejwięcej 1.870.000 mieszkańców w czem omal 600 000 rdzennych chrześcijan zamieszkałych głównie w Mokotowie, Wilanowie, Muranowie, Grochowie, na Woli, na Pradze. W Radzie Miejskiej, (której prezydentem będzie T. Toeplitz) radni Hołówko, Łypacewicz, Jaworowski, Szpo-

tański siedzieć będą na skrajnej prawicy i tworzyć reakcyjną opozycję żubrów polskich. Na wniosek radnego Paschalskiego, (który w r. 1936 przejdzie na łono wyznania Mojżeszowego) Rada uchwali jednogłośnie wbrew żubrom polskim następujące zmiany nazwach ulic Warszawy:

Ulica Marszałkowska przezwana w r. 1925 ul. J. Piłsudskiego wraca do dawnej nazwy i zwie się ulicą Louis Marschalla.

Ul. Królewska: Aleje Salomońskie.
Ul. Nowy Świat: Nowo-Yorska.
Krakowskie Przedmieście: ul. Marxa.
Plac Saski: Plac Einsteina.
Aleje Ujazdowskie: Aleje Montefiorego.
Plac Teatralny: „Habima".
Plac Zbawiciela „Jaures-platz".
Plac Wareoki: „Der Zamenhof".
Łazienki: „Dybuk-Garten".
Ul. Gęsia: „Słonimskie Przedmieście".
Bagatela: „Opatosznik".
Plac Kercelego: „Hertzeleplatz".
Powiśle: „Trockie Bulwary". I t. p. i t. d.

I wtedy to także Rada Miejska zdecyduje dawną ulicę Towarową (zwaną tak z powodu całych domów przepełnionych ongiś żywym towarem) nazwać ulicą posła Wiślickiego na pamiątkę znanego myszuge sejmowego z r. 1922.

Ale wtedy pojawi się w całej prasie warszawskiej (łącznie z ostatnim pismem polskim „Naszym Kurjerem" dr. J. Rosnera) protest właścicieli wszystkich domów towarowych z ul. Towarowej, przeciw nazwaniu Towarowej ulicą Wiślicką. I wtedy ulicę te wbrew znowuż opozycji radnych Szpotańskiego, Hołówki, Łypacewicza, Jaworowskiego i t. p. nazwą na złość:

ul. Berka Joselowicza.

MEGALOJUDY.

Louis Marschal jeden z przepotężnych „książąt Sjonu" amerykański potentat z Waalstreet Nowojorskiej miał przed komisją emigracyjną w Waszyngtonie, naradzającą się nad zatamowaniem imigracji żydostwa długą 7-mio godzinną mowę z której wyjątki podała juden presse całego globu w Czerwcu r. 1922. Oto co grzmiał np. megaloman judejski (Na K. 6 Czerwca).

„Jeżeli cały świat zwraca się do żydów *o przewodnictwo duchowe*, to niech nikt nie śmie twierdzić, że żyd jest stworzeniem niższego rodzaju. Teraźniejszy żyd pochodzi od tych żydów, u których *cały świat pouczał się.* Nie zrozumiecie w żaden sposób East Side (dzielnica żydowska w New-Jorku) za pomocą mikroskopijnego badania włosów emigranta. Trzeba poznać tych ludzi, aby ocenić ich wartość.

Wiedźcie, że ci nędznie odziani, brodaci handlarze i kra-

wcy w dzień — są *w nocy książętami ducha.* A jednak wyrobiliście sobie złą opinję o tych ludziach, gdybyście wnioskowali o nich na zasadzie wyglądu zewnętrznego"...

Książęta ducha właśnie w nocy fałszujący pieniądze i paszporty, przemycający opium i kokainę, handlujący kobietami, trzymający banki w domach gry, szmuglujący, passerujący i paskujący...

NOWA SZOPKA PIKUSIÓW.

W wielkiem Akwarjum żydowskiem, w „Żemjanskiej Kawiarni" oberpaskarza Albrechta odbywają się przedstawienia nowej *Szopki* tegorocznej tym razem już ganz koszer, pióra wyłącznie trzech obrzezanych rytualnie. Ponieważ Lechoń chory a inni poeci już wogóle ustępując przed nawałą żydowską kapitulują i wycofują się z literatury nawet kabaretowej, przeto wszystkie pierwsze skrzypce dostają się w ręce Pikusiów i Fitzełesów. Można sobie wyobrazić więc jaka jest tendencja takiego majufesu, na którym daje sobie rendez-vous cała Parszawa, całe paskarstwo i paserstwo stołeczne, wszyscy lichwiarze warszawscy i łódzcy i ich genialni zięciowie. „Szopka" p-I-C-A-dorów pisana jest nie w żargonie ale po polsku, aby i te szumowiny polskie które się w tej mykwie humoru koszernego znajdą, zrozumiały dobrze w jaki to sposób podaje się w pośmiewisko stolicy Polski tych ostatnich Mohikanów, którzy walczą jeszcze z definitywnem zażydzeniem Parszawy i Polski. (—)

KOHN SIĘ WYGADAŁ.

Hieronym (?) Kohn znany pod ukraińskim pseudonymem atamana Hieronymki, kryptobolszewik, kawiarniany włóczykij paryski, ostatnio korespondent Robotnika, obłaskawiany udatnie przez ambasadę polską w Paryżu, okropnie nie może znosić fascyzmu. W korespondencji swojej z Paryża z 27 grudnia zamieszczonej w „Rebie" z dnia 3 stycznia 1922 r. przesyła Hieronymko rozmaite życzenia z takiem finale:

„Kończę mój list z wiarą w odrodzenie naszego narodu przez lud polski i w pomyślność pracy P. P. S. nad tą nową Polską, chwastem egoizmu nacjonalistycznego porosłą. Moje życzenia noworoczne: oby jaknajprędzej ten niezdrowy chwast udało się wam wyrwać z korzeniami i by na oczyszczonej glebie, ku szczęściu Polski i ludzkości, socjalizm wybujał pięknym kwiatem.

Hieronimko.

Bravo Hierdek!
Niezdrowy chwast nacjonalizmu wyrwać z korzeniami!
Na jego miejsce aby wybujał zaraz socjalizm!
Doskonale. Szczerze.
Bravo Hierdek!

Pren. kwart. 4 500. Zagranicą kwart. 6.500.
Ceny ogłoszeń: 1 str. za tekstem 150 000, ½ str. 75.000, ¼ str. 40.000, ⅛ str. 20 000, 1/16 str. 10.000 mk. Konto czek. w P.K.O. Nr. 3105

Redaktor i wydawca: STANISŁAW WŁODEK.
Godziny przyjęć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.